

„Superekspres” i prowokacja dziennikarska

Tekst pierwotnie opublikowany na portalu Polska.pl

Jednym ze sposobów, jakim przedstawiciele środków masowego przekazu posługują się w celu zdemaskowania niechętnie ujawnianych przez niektóre (ważne zwykle) osoby, a jednocześnie interesujących i wartych pokazania społeczeństwu zjawisk, jest tzw. prowokacja dziennikarska. Pojęcie to jest dość trudne do jednoznacznego zdefiniowania. O ile bowiem cele różnych prowokacji dziennikarskich są do siebie zazwyczaj podobne (chodzi zwykle o ujawnienie korupcji, oszustw, wpływu grup przestępczych, a czasem po prostu zwykłej głupoty), to działania mające charakter prowokacji dziennikarskiej za każdym razem są inne.

Znakomite przypadki prowokacji dziennikarskich miały miejsce w ostatnich latach w Polsce. I tak np. pod koniec stycznia 2006 r. jeden z reporterów dziennika „Fakt”, udając asystenta o. Tadeusza Rydyka, dyrektora Radia Maryja, zadzwonił do sekretariatu Ministerstwa Rolnictwa z prośbą o przysłanie samochodu w zastępstwie tego, który rzekomo nagle się zepsuł. Reakcja urzędników była błyskawiczna – dano do dyspozycji ministerialny samochód w ciągu ok. piętnastu minut.

Problemy z „prowokacją”

Uciekanie się przez dziennikarzy do stosowania prowokacji stwarza jednak czasem pewne problemy. W wielu przypadkach takich „prowokacji” całkiem na miejscu wydaje się postawienie pytania o moralną stronę takiego działania. Czasem zaś, taka prowokacja – choć w rezultacie może być bardzo pożyteczna – wypełnia znamiona czynu uznawanego przez prawo karne za przestępstwo.

W jakim stopniu interes społeczny, jakim niewątpliwie jest wydobywanie na światło dzienne zjawisk korupcji, wpływu grup przestępczych na instytucje władzy publicznej itp. powinien gwarantować bezkarność autorom i uczestnikom tych prowokacji dziennikarskich które – formalnie rzecz biorąc – mają cechy czynów zakazanych przez obowiązujące prawo? Do postawienia takiego właśnie pytania skłania mająca już swe miejsce w historii polskiego dziennikarstwa prowokacja dokonana przez dziennikarzy „Superekspresu”.

Eksplodują za eksplozją

Rzecz działa się w lutym 1995 r. O wpływy terenie Warszawy walczyły wówczas dwie zorganizowane grupy przestępcze, znane powszechnie jako „Mafia Pruszkowska” i „Mafia Wołomińska”. W mieście zdarzały się (wyrządzające na ogół tylko szkody materialne) wybuchy bomb.

Zdumiewające odkrycie

Skąd jednak przestępcy mieli materiały wybuchowe? To właśnie postanowili wyjaśnić dziennikarze „Superekspresu”. Dokonane przez nich odkrycie było wręcz niebywałe: nieujawniony do dziś dziennikarz kupił 4,5 kg trotylu od... policjantów z jednostki antyterrorystycznej na warszawskim Okęciu. Uzyskany w ten sposób trotyl został

przewieziony do redakcji, gdzie miała się odbyć konferencja prasowa. Zanim jednak do niej doszło, do redakcji „Superekspresu” wkroczyła policja i skonfiskowała schowany w szafie pancерnej materiał wybuchowy.

Po tym incydencie ówczesna redaktor naczelna gazety Urszula Surmacz-Imienińska i prezes spółki wydającej dziennik Grzegorz Lindenberg zostali oskarżeni o nielegalne posiadanie materiałów wybuchowych.

Czy to przestępstwo?

Czy oskarżenie to było jednak zasadne? Formalnie rzecz biorąc, miało ono swoje podstawy. Art. 143 obowiązującego jeszcze wówczas kodeksu karnego z 1969 r. przewidywał, że każdy, „kto bez wymaganego zezwolenia wyrabia, gromadzi lub przechowuje materiały lub przyrządy wybuchowe [...] podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5”. Trotyl niewątpliwie jest materiałem wybuchowym. Szefowie „Superekspresu” bez wątpienia – choć przez czas krótki – przechowywali trotyl w swojej redakcji. Na jego przechowywanie z pewnością nie mieli stosownego (a właściwie żadnego) zezwolenia. Wszelkie znamiona przestępstwa z artykułu 143 ówczesnego k.k. zostały więc przez nich spełnione.

Choć jednak działanie Grzegorza Lindenberga i Urszuli Surmacz-Imienińskiej spełniało kryteria przestępstwa określonego w art. 143 k.k. z 1969 r. (a obecnie wypełniałoby znamiona przestępstwa z art. 171 §1 obowiązującego kodeksu karnego), nietrudno zauważyć, że nie było ono typowym przestępstwem z tego artykułu.

Pro publico bono

Artykuł 143 k.k. z 1969 r. był – a artykuł 171 §1 obowiązującego k.k. był i jest – stosowany przeciwko członkom grup przestępczych – przechowującym materiały wybuchowe w celach zbrodniczych, a także przeciwko rozmaitym piromanom i miłośnikom militariów. Co wspólnego z takimi ludźmi mieli szefowie „Superekspresu”? Ich działanie miało na celu zdemaskowanie niezwykle groźnego zjawiska, jakim jest sama już choćby realna możliwość nabywania przez przestępców materiałów wybuchowych od policji. Było to - w gruncie - działanie dla dobra publicznego, a nie przeciw dobru publicznemu.

Znikoma szkodliwość

Prokuratura nie przyjęła jednak wyjaśnień szefów „Superekspresu” i postanowiła postawić ich przed sądem. Sprawa ciągnęła się przez wiele lat. W 2000 r. warszawski Sąd Rejonowy umorzył postępowanie przeciwko oskarżonym z powodu znikomej szkodliwości społecznej popełnionego przez nich czynu. „Mamy wystarczającą liczbę przestępców, których trzeba ścigać, więc niezrozumiałe byłoby ściganie tych dziennikarzy” – tak m.in. brzmiało uzasadnienie wydanego wówczas wyroku.

Prokuratura nie dała jednak za wygraną. Jeszcze w grudniu 2000 r. złożyła apelację, domagając się ponownego procesu. Sąd Okręgowy w Warszawie uchylił zaskarżony wyrok i nakazał powtórne rozpatrzenie całej sprawy.

Nie ma mowy

W ponownym procesie prokurator wniósł o skazanie oskarżonych na kary po pół roku więzienia w zawieszeniu na dwa lata. „Pół roku to minimalna kara za to przestępstwo. W tej sprawie nie można mówić o ‘znikomym niebezpieczeństwie społecznym’, bo Lindenberg i Imienińska nie chcieli oddać trotylu policji, gdy ta wkroczyła do redakcji, a ponadto nie ujawnili, kto i od kogo kupił trotyl” – tak mniej więcej argumentował przed sądem prokurator Aleksander Tomaszuk.

Rozsądek zwyciężył

Sąd jednak i tym razem nie zgodził się z prokuraturą. Choć uznał, że działania oskarżonych formalnie rzecz biorąc wyczerpywały znamiona przepisu, z którego ich oskarżono, to jednak nie były szkodliwe społecznie, a więc – w świetle art. 2 kodeksu karnego („nie stanowi przestępstw czyn zabroniony, którego społeczna szkodliwość jest znikoma”) nie mogły być zasadnie uznane za przestępstwo.

Na taki wyrok Grzegorz Lindenberg i Urszula Surmacz-Imienińska czekali dziewięć lat od czasu sławetnej prowokacji. W końcu jednak, zdrowy rozsądek i życiowa, a nadto zgodna z celami kodeksu karnego interpretacja prawa, zwyciężyły nad bezmyślnym, prawniczym rygoryzmem.

[Strona główna](#)